

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

WŁADYSŁAW UMIŃSKI.



## Najmniejsza planeta.



wiadomo naszym czytelnikom, że dookoła słońca, oprócz wielkich planet \*), krąży jeszcze bardzo wiele drobnutkich planetek, które tworzą coś jakby pierścień w pobliżu planety Marsa.

Astronomowie odkryli już niemal sześćset tych drobnutkich światków, a co rok *przy pomocy fotografii* nowe odkrywają.

Fotografia daje w tym kierunku niezmiernie usługi. Astronom bierze aparat fotograficzny, umyślnie w tym celu zbudowany, zaopatrzony w dużą soczewkę, mającą ze dwadzieścia pięć cm. średnicy i kieruje go na obraną część nieba, gdzie podejrzewa istnienie nieznannej jeszcze planety. W aparacie, naturalnie, znajduje się klisza fotograficzna. Gdyby aparat taki znajdował się w spoczynku, to gwiazdy narysowałyby się na niej jako kreski, mają one bowiem ruch pozorny, skutkiem obrotu ziemi naszej dookoła swojej osi. Ale aparat taki znajduje się przy pomocy mechanizmu odpowiedniego, w ciągłym ruchu, soczewka „goni” na niebie gwiazdy, tak iż obraz ich ciągle znajduje się w jednym i tem samym miejscu; dzięki tej ostrożności gwiazdy fotografują się nie jako kreski, ale jako punkciki świetlne, tem większe na kliszy, im gwiazda jest jaśniejsza.

W ten to sposób astronomowie układają bardzo szczegółową mapę nieba, na której znajdują się gwiazdy, poczynając od największych, najjaśniejszych, a kończąc na takich, których

oko gołe nie widzi, tylko trzeba je obserwować przez silne szkła teleskopów.

Co jednak będzie, jeżeli pomiędzy takimi gwiazdami nieruchomymi znajdzie się i planeta, obdarzona nie tylko ruchem pozornym, ale także własnym. Naturalnie nie zfotografuje się ona na płycie jako punkcik, ale zrobi kreskę, tem dłuższą, im aparat dłużej będzie wystawiony na działanie światła, idącego od gwiazd i od planet.

Obecność takich właśnie kresek pozwala astronomom rozpoznawać, czy pomiędzy zfotografowanymi gwiazdami nie znajduje się w danej okolicy nieba także planeta. Specjalistą od fotograficznych poszukiwań jest Niemiec Vogel; on jeden odkrył kilkadziesiąt drobnych planetek.

Pomiędzy znanymi już planetami znajdują się ciała różnych rozmiarów, jeżeli pominiemy największe, jak Marsa, Ziemię, Wenerę, Saturna, Jowisza, Urana i Neptuna, to pozostałe, wyłączwszy jeszcze Merkurego, posiadają bardzo nieznaczne rozmiary, mierzą bowiem w średnicy po kilkanaście do paru mil geograficznych.

Stopiwszy te 600 planetek w jedną, otrzymalibyśmy ciało niebieskie dwadzieścia razy mniejsze od naszego globu. To nam daje pojęcie, jak drobnymi są owe ciała, krążące, podobnie jak inne planety, dokoła słońca. W lecie 1900 roku astronom amerykański Keeler, odkrył przy pomocy potężnego teleskopu, znajdującego się w obserwatorium Licksa w Kalifornii, najmniejszą z pomiędzy wszystkich dotąd odkrytych planetek, najmniejszą bo mierzy zaledwie 500 metrów czyli pół kilm. średnicy! Jestto prawdziwy światek liliputów, o których pisał Swift w swoich sławnych podróżach Guliwera. Każdy niemal zna tę książkę, która jest doskonałą satyrą na stosunki ludzkie.

\*) Merkury, Wenera, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun.



Liczni czytelnicy biorą dosłownie owe podróże, i nieraz może zastanawiają się, czy istnieją światy zamieszkałe przez takie dobre istoty.

Otóż jeżeli oprócz ziemi naszej inne planety także posiadają mieszkańców, co naturalnie nie jest sprawdzone, ale nie należy do niemożliwości, to lilipuci mogliby mieszkać na jednej z planetek, o których wspominaliśmy.

Czy życie na takiej planecie, mierzącej parę mil średnicy, byłoby możliwe? Astronomowie powątpiewają o tem dla powodów, nad którymi niepodobna się tutaj rozwodzić. Ciekawem jest jednak, jakie warunki fizyczne panują na drobnych ciałkach niebieskich, krążących w sąsiedztwie Marsa dokoła słońca.

Otóż powierzchnia takiego światka wynosiłaby zaledwie 785 tysięcy metrów kwadratowych, to znaczy, że obszarem dorównywałaby zaledwie folwarkowi kilkunastu - włókowemu. Podróż dokoła świata na tej planetce byłaby przyjemnym i niedługim spacerkiem. Obwód jej nie przewyższa bowiem półtora kilometra! Nie opłaciłoby się tam naturalnie, zakładać linii kolejowej ani nawet tramwajowej, bo podróż mogłaby trwać co najwyżej trzy minuty!

Ciężar przedmiotów, znajdujących się na powierzchni jakiejś planety zależy od jej masy, im masa jest mniejsza, tem ciężar mniejszy i odwrotnie. Na słońcu, przedmiot ważący jeden kg. u nas, ważyłby 27 kg., ten sam zaś przedmiot, przeniesiony na księżyc, ważyłby szóstą część kg. A na owym świadku lilipucim ciężar jego spadłby jeszcze bardziej, bo do jednej trzynastotysięcznej kg. Człowiek zatem ważący na ziemi 70 kg., na planetce, o której mowa, ważyłby—niewiele więcej nad 5 gramów. Trzebaby było wziąć dziesięciu ludzi, żeby ważyli tyle, ile u nas na ziemi waży kurczak! Człowiek obdarzony taką siłą jak każdy z nas, nie mógłby zatem łatwo biegać po małej planetce, za każdym krokiem groziłoby mu bowiem niebezpieczeństwo, że się wzniesie w górę, jak ptak. Ale gdyby nawet podskoczył na kilkanaście sążni, co łatwo zdołałby uczynić, to spadając, nie zrobiłby sobie żadnej krzywdy, bo siła przyciągająca jest tam bardzo słaba i spadanie ciał bardzo wolne. Kamień rzucony z procy w górę przez człowieka na owej planetce prawdopodobnie wyleciałby tak wysoko, że wybiegłby poza sferę przyciągania planety i zacząłby krążyć dokoła niej, jak księżyc. To samo naturalnie spotkałoby każdy pocisk silniej wyrzucony.

Na maleńkim światku człowiek naszej budowy nie mógłby zatem żyć, zresztą, gdyby nawet mógł, to nie potrafiłby się wyżywić na tak małym obszarze.

A teraz pytanie, skąd się wzięły pomiędzy Jowiszem a Marsem te liczne światki, z których dotąd odkryto przeszło 600, a zapewne jest jeszcze znacznie więcej?

Na to pytanie pewnej odpowiedzi niema dotąd. Astronomowie przypuszczają jednak, że powstały skutkiem katastrofy, w której jedna z planet większych rozleciała się na drobne szczątki i z tych to szczątków utworzyły się następnie roje planet. Być może także, że powstały podobnie jak inne planety z pierścienia oderwanego od słońca.

## DZWON.

Dzwon — głos ludów przepotężny  
W klęsce, w trwodze, dusz rozterce,  
I w niedoli — i w szermierce,  
Woła niby wielkie serce  
Na cny pokój... na bój mężny!...

Biją dzwony!... Rozmodlony  
Głos się łamie... wzmaga... żebrze...  
Łka w chmur fali, drga w gór żebrze,  
Dźwięczy... dzwoni w jezior srebrze  
Harfianemi grając tony...

Dzwońcie dzwony!... Nad głusz polną,  
Nad step szumny,... nad kurhany,  
Nad bór wiekiem rozespany,  
Leć, ty głosie skargą gnany  
Bo ci jeszcze mówić wolno!...

Leć!... My tobie wołać każem  
O niedoli,... o żałobie;...  
Bo dziś jeno wolno—tobie  
Łkać na wielkich marzeń grobie,  
Nad zwalonych złud cmętarzem...

Lecz gdy wielkie ludu łkania  
Rozkołyszają sercem dzwonu,  
To po krańce nieboskłonu  
Spiżowego pełna tonu—  
Pieśń zadzwoni zmartwychwstania!...

*Ida Pilecka.*

## Wspomnienia z lat młodości.

przez St. Br.

(Ciąg dalszy.)

Przyjęli nas p. Deskurowie nader gościnnie, sztab stanął we dworze; po obiedzie tańczono i bawiono się wybornie.



Ja właśnie, wlaższy w ogrodzie na gruszę, zrywałem dojrzałe owoce i rzucałem na dół panienkom, kiedy wyraźnie posłyszałem bardzo odległy odgłos strzałów.

Szybko zszedłszy z drzewa, przypiąłem pałasz i rewolwer, a przeprosiwszy panienki, którym wytłómaczyłem, że mam jakiś pilny interes do majora, pobiegłem do dworu. Zastawszy majora w najlepsze żartującego z paniami, (gdyż srogi pan major ogromnie damskie towarzystwo lubił), powiedziałem mu:

— Człowiek, co pan major kazał, czeka.

Major spojrział na mnie zdziwiony, jednakże poznawszy, że to coś jest, wyszedł ze mną zaraz do sieni, gdzie mu powiedziałem, com słyszał, a także i to, że jeden strzał był ostrzejszy, widocznie z naszej broni, a kilka grubszych, głuchszych z rosyjskiej.

Wysliśmy zaraz na ganek gdzie major kazał sobie podać konia, a mnie posłał zameldować tę wiadomość Naczelnikowi.

Naczelnik odpowiedział, że może to tak sobie tylko jakiś huk i nie ruszył się z miejsca.

Ja jednak zbyt byłem swego pewny, poszedłem więc do stajni i bez żadnego rozkazu kazałem kulbaczyć konie Naczelnika i sztabu, a przedewszystkiem swego.

Wróciwszy do dworu i spotkawszy się sam na sam z panią Deskurową, powiedziałem jej, że prawdopodobnie będzie wkrótce bitwa, więc niech nic nikomu o tem nie mówi, ale niech ma to na względzie.

Tymczasem jakoś i pan Naczelnik dał sobie wytłómaczyć, że to były napewno strzały, więc wysliśmy całem towarzystwem na ganek i w tej chwili usłyszeliśmy trąbki grające na trwogę. Podano nam momentalnie konie, zaprzęgano furgony, formowały się kompanie, siadała na koń kawalerya, słowem zwykły ruch przedbojowy.

A choć w partyi było dużo prawdziwych żołnierzy, którzy—jak to mówią—nie z jednego pieca chleb jedli, ale było więcej takich, którzy jeszcze prochu nigdy nie wachali, więc przypatrywałem się z ciekawością, jak to wszystko idzie.

Poszło dość sprawnie: kawalerya pod dowództwem Antoszewicza i Gryglaszewskiego wyjeżdżała właśnie tęgim kłusem na rekonesans, kiedy wyraźnie usłyszałem kilkanaście strzałów wprawdzie jeszcze bardzo odległych, lecz niemal jednocześnie rozległ się dobrze znany świst, a raczej brzęk kuli, która gdzieś wysoko nad dachem przeleciała.

Wpadłem do dworu, kazawszy trzymać konia chłopakowi, żeby pomódz paniom. Pani Deskurowa chwylała na prędce kosztowności,

i zobaczywszy mnie prosiła, żebym na miłość Boską ratował je i kazał zaprzęgać konie, bo już dwa razy posyłała napróżno; panienki płakały tymczasem i mówiły: Pod Twoją obronę.

Pobiegłem do stajni szukać furmana, pogroziwszy po drodze chłopcu, który mego konia puścił. Znalazłem go pod żłobem, a gdy na mój rozkaz, żeby zaprzęgał, grubiańsko odpowiedział, że zaprzęgać ani myśli. Przemówiłem do niego krótko, ale węzłowato — płazem szabli po grzbiecie, co tak poskutkowało, że w jednej chwili przed ganek zajechał.

Pani Deskurowa szybko wskoczyła do powozu z rodziną, a ja jeszcze wrzuciłem im parę ciepłych chustek, sam zaś siadłem na konia i ruszyłem za kolumną, która już ze wsi ku sąsiedniemu lasowi maszerowała.

Przez cały ten czas kule już padały we dworze, bębniły po dachach, a huk strzałów co raz głośniej się rozlegał.

Druga kompania strzelców wytrzymywała nacisk nieprzyjaciela na skraju wsi celnym i gęstym ogniem; po chwili na drugim końcu wsi rozległ się znowu ogień, o ile pamiętam, piechoty Gromeyki. Reszta całej partyi cofała się do lasu, gdzie rozstawiano strzelców w szeregi na brzegu.

Tymczasem ogień we wsi wzmagał się co raz bardziej, przybliżając się do nas, strzelcy bowiem odstrzeliliwując się, ściągali ku nam.

Major, jak salamandra w ogniu, całą akcją kierował. Naraz w kilku miejscach buchnęły kłęby dymu i płomieni! To wieś zaczęła się palić. Niebawem strzelcy nasi skoncentrowali się w jednej części wsi, a drugą zajął nieprzyjaciel, którego część (jak mówiono dwie rot) walczyła ze strzelcami, a druga, większa rozpoczęła gęsty ogień karabinowy na nas.

Widocznie tej chwili czekał major; przybiegł bowiem do nas i, sformowawszy szturmową kolumnę poprowadził ją do ataku.

Żuawi poszli pierwsi i prawdziwie rozkosz była patrzeć, jak szli na bagnety z nogi, śpiewając swoje ulubione: „Nie zeszło słońce, nie wstały ptaszęta“.

Pierwszą ich kompanię prowadził Zaremba, drugą nie pamiętam kto. Za żuawami ruszyli strzelcy.

Wszystko to doszło mniej więcej do połowy drogi krokiem, a czerwona łuna pożaru odbijała się w płaskich bagnietach krwawym światłem, bo noc była bardzo ciemna. Przeszedłszy tak część drogi huknęli: „Na Kujawach powiadają“, i pobiegli kłusem.

Kiedy tak byli już na paręset kroków ode



wsie, pochyliły się bagnety, rozległo się jak grom: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i kolumna ruszyła całym pędem.

Naprzeciwno nas rozległ się trzask gęstego karabinowego ognia, widziałem jak kilkunastu żuawów pochyliło się silnie naprzód i, wypuściwszy karabiny, opadło na nie na ziemię, a wtem biegnący niedaleko Zaremba z uśmiechem, jakby na bal, okręcił się na pięcie i padł na ziemię.

Ja biegłem za nim nie dalej jak okroków 50, kiedy jednak dobiegłem do niego, już leżał nieruchomy. Dostał kulą w same piersi.

Wydostawszy z kieszeni szarpie, nałożyłem je na ranę i zapiąłem mundur, on oczy miał otwarte...

Następnie ruszyłem za innymi. Wieś była już zdobyta i nieprzyjaciół cofał się pod morderczym ogniem żuawów i strzelców, którzy ich wkrótce ze wsi wyparli. Tem łatwiej to poszło, że pozostała z prawej strony wsi druga kompanja i piechota Gromeyki uderzyła na nich jednocześnie z boku.

Ja wciąż biegłem za innymi, szukając okazji do wystrzelenia swego rewolworu, który już dawno był nabity, ale przed sobą ciągle miałem naszych; nareszcie w jakiejś uliczce zobaczyłem kilkunastu żołnierzy, wypaliłem więc wszystkie sześć strzałów, ale że było daleko, a przytem gorąco od palącej się w pobliżu stodoły, wątpię czy trafiłem.

Zawróciłem więc do swoich, ale dwa razy musiałem kołować, bo mi drogę zagradzał ogień. Wydostawszy się jakoś z onego pożaru, dotarłem do swego konia i ruszyłem z wolną prawą stroną wsi, która się jeszcze nie paliła, ku dworowi.

Wtem rozległo się gromkie uraaa! i choć było dość daleko, usłyszałem wyraźnie znany tentent szarżującej kawalerji, potem gęsty trzask karabinowych wystrzałów, krzyki, a po chwili z tyłu za mną głuchy tentent biegnących całym pędem kilku koni.

Zrobiło mi się dość głupio na sercu: rewolwer wystrzelony! niema co, dobywam szablę i zjeżdżam z drogi na bok. Akurat między stodołą a opłotkiem zmieściłem się jakoś i, ścignawszy ostro konia, żeby nie parsknął, czekam.

W tej chwili drogą, jak wicher, przelatuje przede mną kilka ogromnych szaro-gniadych dragonskich koni bez jeźdźców. Wyjeżdżam więc na drogę i ruszam za nimi; uciec mi nie mogły, bo o kilkadziesiąt kroków dalej sterczała jakaś zamknięta brama od parkanu, przeciwną w poprzek drogę.

Tak się też stało; dobiegłszy do onej bramy, konie skłębily się, a gdy zeskoczywszy ze swe-

go, podszedłem do nich,—jako na dobrze wychowane konie dragonskie przystało, dały się powodami złączyć i najspokojniej prowadzić.

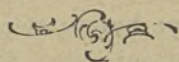
Było ich ośm, szkapy jak słonie, utrzymane doskonale, wszystkie w cieple, okulbaczone w ciężkie dragonskie kulbaki, wspaniale wyglądały. Zawróciwszy tedy назад, prowadzę konie z sobą, a po chwili spotykam dwóch naszych kawalerzystów, ci widząc owe pyszne wierzchowce stanęli.

Zacząłem więc wołać: swój! swój!, bojąc się, żeby który po ciemku nie wygarnął do mnie.

Jakoż dobrze zrobił, bo jak mi potem powiedzieli, już się do karabinów brali. Opowiedziałem im tedy, że sześciu dragonów zwałił z koni a dwóch zarąbał, reszta zaś uciekła.

Ci napotkani—byli to kozacy Czajkowskiego, z tego gatunku, co to od 1848 r. w dziesięciu wojnach się bili, więc okropnie im się to podobalo i śmieli się do rozpuku, udając, że to na seryo biorą.

(d. c. n.)



## Jak budować dom.

(Ciąg dalszy.)

### ROZDZIAŁ I.

#### Czynności przygotowawcze.

Kto ma zamiar budować dom mieszkalny, powinien przedewszystkiem obliczyć się z siłami, w myśl przysłowia: „wedle stawu grobla“ i odpowiednio do tego przygotować wszystko w dostatecznej ilości tak, ażeby potem żadnego braku nie było, albowiem z tego powodu powstaje najczęściej powiększenie przewidzianych kosztów i zmiany w planie budowy.

*Pierwszą rzeczą niezbędną dla budowy domu są środki ku temu, to jest pieniądze.*

Pieniądze powinny być przygotowane w ilości określonej w kosztorysie, z dodatkiem na nieprzewidziane wydatki i okoliczności przytańszych skromnych domkach—około 10% sumy kosztorysowej, a przy większych i wspanialszych domach lub pałacach do 25% a nawet 50%.

Bez odpowiednich środków przystąpić do budowy jest poprostu lekkomyślnością, która się potem odbija bardzo smutnie na samej budowie i na ogólnym stanie interesów.

*Drugą z kolei nieodzowną rzeczą jest dokładny plan i szczegółowy kosztorys, na podstawie tego planu zrobiony.*



Plan musi być wykonany przez osobę kompetentną, t. j. przez budowniczego lub architekta, który powinien doskonale obejrzeć miejscowość i zapoznać się z gustami, upodobaniami i wymaganiami właściciela, tak ażeby później nie robić zmian i poprawek, psujących całość.

*Trzecim* warunkiem nie przekroczenia kosztorysu jest sprowadzenie we właściwym czasie *wszystkich* potrzebnych do budowy materiałów, a to zarówno dla taniości dostaw, jak i dla uniknięcia tak niezmiernie kosztownych przerw roboty. Mając na placu wszystkie materiały, można je obejrzeć i zbadać, w razie nieodpowiedniego gatunku lub wymiaru w porę zamienić lub też zastosować się do tego co jest.

*Czwartym* warunkiem — jest udatne wybranie miejsca. Mam tu na myśli wieś, gdyż w mieście trzeba się z konieczności zastosować do posiadanego placu i umiejętnie go wyzyskać.

Na wsi trzeba zwracać uwagę, żeby dom nie stał u podnóża góry, lub nawet pagórka, ani też niżej od sąsiednich gruntów, gdyż w takich razach około domu będzie błoto; następnie w takich niższych miejscach zwykle się trafia woda zaskórna, czego następstwem jest wilgoć w domu, która pociąga nieobliczone straty nie tylko dla trwałości budynku lecz i dla zdrowia mieszkańców. A tak niezmiernie łatwo jest tego uniknąć! Należy więc dokładnie zbadać miejscowość i wybrać odpowiedni, suchy kawałek ziemi.

Badania tego można z łatwością dopełnić za pomocą szeregu otworów świdrowych. Taki świder ziemny, działający łatwo na głębokość dwóch sążni, co jest aż nadto wystarczające, zaledwie kilka rubli kosztuje, i w każdym gospodarstwie znajdować się winien, gdyż ciągle może znaleźć zastosowanie dla poszukiwania gliny, piasku, wody i t. d.

*Piąty* warunek do rozpatrzenia to kierunek budynku. Dom mieszkalny powinien się stawiać o ile możności pod kątem do południa, w kierunku np. z południo - wschodu na północo - zachód, lub na odwrót, gdyż jeżeli frontem w kierunku prostopadłym do północy lub południa stoi, zawsze jedna część domu jest za ciepła, a druga za zimna.

Przytem radzimy w części południowo-wschodniej pomieścić pokoje sypialne, i słońca w nich nie żałować, a zwłaszcza w pokojach dzieciennych. Niejednej choroby w ten sposób się uniknie, gdyż jak wiadomo, zarazki chorobotwórcze, (bakterye) nie mają większego wroga nad słońce, wiatr i świeże powietrze.

A ileby się chorób dzieciennych za pomocą tych trzech tak prostych i tak tanich

środków uniknęło! O ileby było korzystniej pieniądze wydane na rozmaite dywany, dywaniki, franki, portjery i t. p. przedmioty, które przechowują chorobliwe mikroby zużytkować na pomieszczenie dzieci w dużych, światłych, wysokich, dobrze wentylowanych pokojach o nagich ścianach i podłogach malowanych olejno!

Mając tedy gotowe pieniądze, dostatecznie obmyślany i zatwierdzony plan, wybrane suche miejsce, zakupione materiały, przystąpić należy do zwożenia ich i składania.

I tu trzeba zachować porządek, zwłaszcza przy większych budowach, składając materiały tak, ażeby jedne drugim nie przeszkadzały. Jednocześnie z rozpoczęciem wożenia i składania materiału, potrzeba naznaczyć osobnego człowieka, do przyjmowania ich i wydawania. On ma prowadzić rachunek materiałów i wiedzieć zawsze gdzie, co i w jakiej ilości się znajduje. Na takiego szafarza żałować nie należy.

*Szóstym* z kolei warunkiem jest dobry robotnik. I tu także radzę każdemu budującemu w jego własnym interesie nie powodować się często ogromnie dużo kosztującą później oszczędnością, albowiem zawsze w rezultacie lepiej zapłacić drożej dobremu robotnikowi, niżeli taniej złemu.

Nie mówiąc już o robocie na dniówkę, nawet przy robocie akordowej (od sztuki) daleko jest dogodniej zapłacić drożej od 1000 cegieł, kwadratowego sążnia podłogi i t. p., robotnikowi znanemu, dobremu, mającemu uczciwość robotniczą na względzie, t. j. dbającemu o swoją opinię, aniżeli zebrać gromadę partaczów, godzących się za byle jaką cenę, a odbijających później tę zniżkę niesumienną pracą, kruczkami i wykrętami.

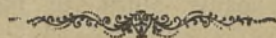
Wiele też zależy na sumiennym dozorze technicznym: w tem także nie należy się powodować źle zrozumianą oszczędnością lecz umówić umiejętnego; fachowego, kierownika.

Różne są systemy wykonywania robót: można oddać jednemu przedsiębiorcy wszystkie roboty ogółem, albo też kilku fachowcom: cieśliskie jednemu, mularskie drugiemu, i t. d., albo też wykonywać roboty sposobem gospodarskim, bezpośrednio samemu.

Pamiętać jednak należy, że w zasadzie roboty wykonywane przez przedsiębiorców są zwykle dokonywane nie tak sumiennie i dokładnie, jak pod osobistym nadzorem dobrego technicznego kierownika, który nie będąc zainteresowany w taniości wykonania, bardziej dokładnie roboty pilnuje.

(c. d. n.)

St. Br.





JULIUSZ VERNÉ.

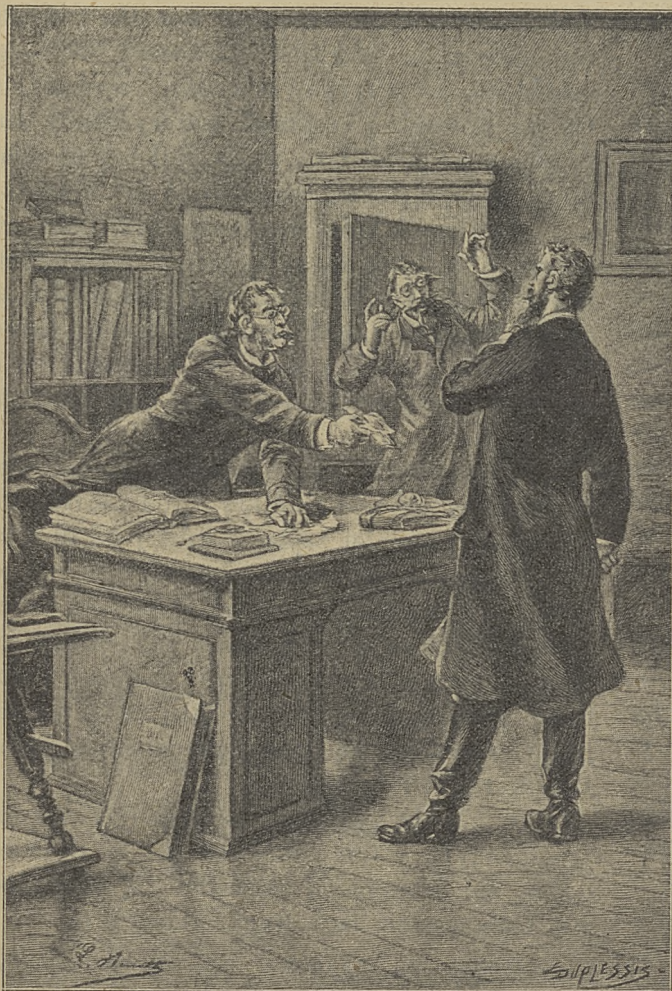


# Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy.)

Bracia Johansenowie, niemniej zdziwieni jak podrażnieni milczeli. Franciszek podszedł do kasy ogniotrwałej, otworzył ją, wyjął pugilares i zaczął go przerzucać. Po krótkiej chwili podał Sturitowi żądany dokument.



— O, panie Sturit, te pieniądze są skradzione!...

Jerzy przyjrzał się bacznie podpisowi Ozolina. Poczem położył na stół paczkę banknotów.

— Zechciejcie panowie przerachować! — rzucił wyniośle.

Bankier Franciszek pobladł i drżącą ręką przerzucał banknoty. Nagle oczy jego zabłysły tryumfem. Głosem tchnącym jakąś dziką radością i nienawiścią zawołał:

— O, panie Sturit, te banknoty są skradzione!

— Skradzione?!...

— Tak. Skradzione z pugilarasu nieszczęśliwego Pocha!

— To być nie może! Bilety te doręczył mi Matias Ozolin w Parnawie... Stanowią depozyt, powierzony mu przez mego ojca...

— A w takim razie wszystko się tłumaczy jasno — zdecydował bankier. — Matias Ozolin roztrwonił powierzony mu depozyt... nie mógł go zwrócić prawdziwemu właścicielowi... skorzystał więc z nadarzonej okazji i...

Jerzy cofnął się o parę kroków, zasłaniając rękami oczy.

— Zanotowaliśmy numery banknotów wręczonych Pochowi — dodał bankier — oto ich wykaz!

Z temi słowy wyjął z bocznej kieszonki arkusz papieru, wypełniony cyframi.

— Panie... panie — jękał Jerzy, zmiażdżony tym ciosem niespodziewanym.

— Niestety, tak jest — powtórzył bankier. Ponieważ otrzymałeś pan te banknoty od Matiasa Ozolina, jest to dowód najlepszy, że nikt inny tylko on okradł naszego inkasenta Pocha.

Jerzy Sturit na odpowiedź się nie zdo był. W głowie mu szumiło... nogi się ugi nały. Zrozumiał, że Matias Ozolin zgubiony jest bez ratunku... teraz wszyscy uwierzą, że profesor roztrwonił powierzony mu przez Michała Sturita depozyt... po otrzymaniu od Jerzego listu z żądaniem pieniędzy pojechał do Parnawy błagać go o przebaczenie za nadużycie zaufania... W drodze trafił go zętknął z Pochem... umyślił więc skorzystać z nadarzonej sposobności... dla zdobycia potrzebnej mu sumy i skradzione banknoty oddał synowi przyjaciela, jako dziedzictwo po ojcu...

— Matias... Matias Ozolin popełnił zbrodnię!... — powtarzał nieprzytomnie.

— O ile nie popełnił jej pan sam! — rzucił wzgardliwie Franciszek Johansen.

— Nędzniku! — rzucił Jerzy.

Nie zażądał jednak zadosyć uczynienia, inne myśli zaprzętały go.

— Nareszcie mamy go w swem ręku — mówił z zadowoleniem bankier, chowając do kieszeni banknoty...

Teraz opieram się już nie na przypuszczeniach, lecz na dowodach materialnych... Dobrze radził Kerstorf, mówiąc, iż numery skradzionych biletów powinienem zachować w tajemnicy... Pierwej czy później zbrodniarz złapać się musi... Teraz śpieszę do sędziego Kerstorfa i mam nadzieję, że za godzinę Ozolin będzie uwięziony.

Jerzy Sturit wybiegł nieprzytomny na ulicę. Najsprzeczniejsze, najszałeśliwsze myśli tłoczyły mu





Nieprzyjaciół w gnieździe.

Zdradziecki napad.



się do głowy. Nie mógł uwierzyć w winę profesora — chybaby sam przyznał się do winy. Śpieszył po wyznanie — przecież te bilety od niego otrzymał w Parnawie! Wpadł do mieszkania Ozolinów i zadzwonił. Szczęściem na dole nie było ani Marty ani Jana. Jerzy wbiegł szybko po schodach i zapukał do gabinetu profesora. Matias otworzył zaraz, lecz na widok zmienionej twarzy Sturita cofnął się o parę kroków.

— Co się stało? — zapytał z niepokojem.

— Ojczel! — zawołał Jerzy błagalnie — powiedz mi.. powiedz mi całą prawdę... nie, to niemożliwe... nie uwierzę nigdy... w głowie mi się mąci...

— O co ci idzie, Jerzy? — przerwał Matias. Czyżby nowe jakieś nieszczęście?...

Słowa te wypowiedział tonem człowieka, który jest przygotowany na wszystko najgorsze, którego żadne zło już nie zadziwi.

— Jerzy... mówił po chwili... proszę cię... rozkazuje... wytłomacz się wyraźnie... jakiej żadasz prawdy?... Czyżbyś przypuszczał?...

Lecz Jerzy nie pozwolił mu dokończyć. Opanowując się nadludzkim prawie wysiłkiem woli, zaczął głosem przerywanym od nadmiernego wzruszenia:

— Przed godziną... woźny... przyniósł tutaj... zawiadomienie...

— Z banku Johansenów!... przerwał Matias... więc teraz wiesz już w jak ciężkim jestem położeniu... Długu tego nie zdołam wypłacić nigdy... spadnie na moje dzieci... Wobec tych zobowiązań, Jerzy, nie możesz... nie zechcesz pewnie zostać moim zięciem... Te ostatnie słowa tchnęły niewypowiedzianą goryczą.

Jerzy milczał — wreszcie wymówił z trudem:

-- Właśnie... przyszło mi na myśl, że mogę usunąć od ciebie tę troskę...

— Ty?...

— Miałem przecież pieniądze, które mi doręczyłeś w Parnawie.

— Ależ to są twoje własne pieniądze, Jerzy... To spadek po twym ojcu...

— Właśnie dlatego miałem prawo rozporządzać niemi... Wziąłem więc banknoty... te same, które otrzymałem od ciebie w Parnawie — i udałem się do banku...

— Uczyniłeś to, Jerzy, naprawdę? — wykrzyknął Ozolin, przyciskając do piersi Jerzego. Lecz pocóż to zrobiłeś?! przecież to twój cały majątek! Ojciec twój chciał ci zapewnić przyszłość, nie zaś płacić moje długil..

-- Otóż — mówił Jerzy dalej z wysiłkiem — banknoty... które doręczyłem Johansenom są te same, które wiozł ów Poch... skradzione z jego pugilaresu... Johansen miał zapisane numery...

— Banknoty... te same banknoty... powtórzył Ozolin bezmyślnie.

Nagle zerwał się z krzesła. Z piersi jego wyrwał się okrzyk straszny, przeraźliwy...

W progu gabinetu stanęli Marta i Jan. Widząc niezwykle stan ojca rzucili się ku niemu, Jerzy stał na uboczu, ukrywając twarz w dłoniach. Matias zdawał się bliski omdlenia. Przemocą posadzono go na krzesło. Z ust jego wyrwały się przerywane wyrazy:

— Banknoty skradzione... banknoty skradzione!...

## ZE ŚWIATA.

**Straszne wesele.** Przed dwoma miesiącami pisaliśmy o zaręczynach młodego króla hiszpańskiego Alfonsa XIII z księżniczką Eną Battenberską, wnuczką królowej Wiktorii angielskiej, i ks. Battenberskiej, Haukówny z domu.

Dnia 31 maja odbył się w Madrycie ślub młodej pary, którą zbrodnicza ręka międzynarodowych anarchistów skrawiła strasznym zamachem.

Młody król na życzenie narodu i ludności stolicy pragnął — a żeby ślub odbył się z całą uroczystością przepisaną dawną etykietą dworu hiszpańskiego. Zjechali się przedstawiciele wszystkich dworów i państw, tysiące przyjezdnych z całej Hiszpanii i Europy. W dwudziestu kilku wspaniałych karetach, zaprzężonych w sześć par koni, udał się orszak ślubny do katedry madryckiej na uroczystość kościelną — przez ulice wypełnione doszczętnie publicznością wśród domów, ukwieconych i ozdobionych przesłonicznie.

W innych kościołach dnia tego 400 innych par brało ślub, chcąc wstąpić w tym samym dniu w związki małżeńskie, co ich ulubiony młody król. Nikt nie spodziewał się, aby ten dzień właśnie wybrano na krwawy, bezmyślny i dziłki zamach.

Po odbyciu ceremonii w kościele, wspaniały weselny korowód posuwał się napowrót do zamku królewskiego bardzo wolno, zebrane bowiem tłumy ustawicznie czyniły owacye parze królewskiej. W ten sposób zbliżono się do 6 piętrowego domu, będącego własnością królowej wdowy Krystyny.

Nagle powstał tłok niezwykle, jak się później okazało, wywołany sztucznie, a z balkonu drugiego piętra padł bukiet wspaniały, w którym ukryto bombę wybuchową, a skierowany wprost do wnętrza karety.

Osoba, rzucająca bukiet, obliczyła tak dokładnie, że gdyby powóz jeszcze krok jeden uczynił, spaśćby musiał przed nogi pary królewskiej. Ale, wprost cudownym sposobem stan-gret w tem właśnie miejscu wstrzymał konie i bukiet padł między koźle karety a pierwszą parę koni.

Straszliwy huk rozległ się w powietrzu, stangret i forys spadli krwią zbroczeni na ziemię, rozszarpane konie odrzucone zostały daleko.

Nastąpiła chwila grobowej ciszy, którą przerywały tylko jęki rannych. Król Alfons pobladł straszliwie, lecz ani na chwilę nie stracił przytomności, wysiadł z trudem z karety, której



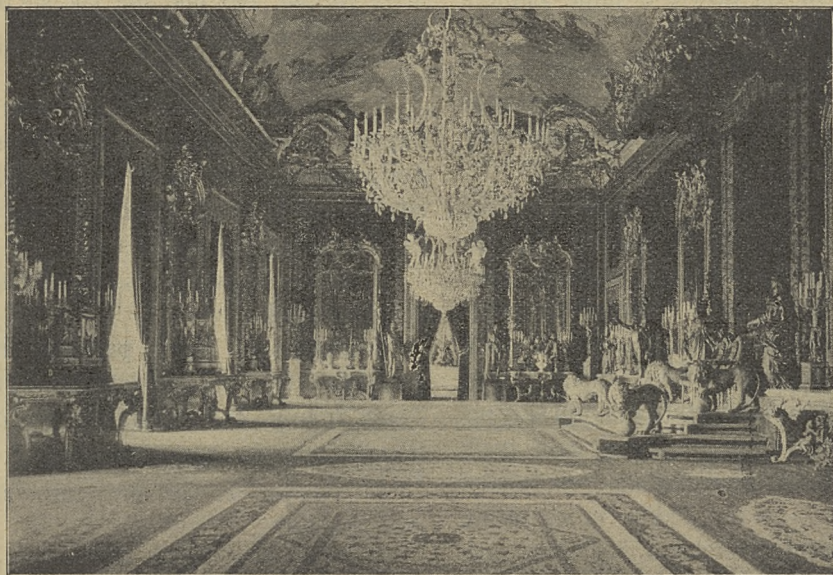
drzwiczki, wbite do środka nie chciały się otworzyć, szarpnął niemi silnie, strzepnął z mundura odłamki bomby, poprawił zerwany łańcuch złoty od orderu Sant Jago, i podał rękę żonie, która drżała jak liść i spazmatycznie łkała.

„Wszystkiemu ja jestem winna—wołała—przez emnie tyle stało się nieszczęścia“.

Król Alfons objął ją ramieniem i uspakajał, a następnie głosem silnym, nie zdradzającym ani cienia lęku, począł uspakajać miotające się w popłochu tłumy. Ta zimna krew zaimponowała wszystkim. Najbliższe otoczenie straciło głowę, król kazał podjechać innemu powo-

z Francji gości ochronić przed doraźną zemstą rozwścieżonego tłumu.

Sprawca zamachu, który nazajutrz potem ujęty przez żandarma zastrzelił go, sam się zabił,—najął pokój; z którego padła bomba, w dniu 22 maja i od pierwszej chwili okazywał wielkie zamieszanie do kwiatów, w wigilię przyniósł wspaniały bukiet, a udając chorobę, prosił, ażeby nie wchodziło do niego. Po wypadku znaleziono na stole kapelusz z firmą angielską, trochę białego proszku, prawdopodobnie dynamitu sproszkowanego. W szafie wisiały dwa ubrania, jedno bardzo eleganckie.



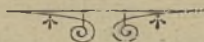
Sala tronowa w pałacu królewskim w Madrycie.

zowi, wsadził do niego młodą oblubienicę swoją i wolno, rozdając ukłony, ruszył do zamku.

Policja wpadła tymczasem do pokoju, z którego padł ów bukiet z bombą, na ulicy zaś zajęto się ratowaniem rannych. Pokój zastano pusty, bo jak się okazało, człowiek, który dokonał zamachu, szybko cofnął się z balkonu, przebrał się w inny kapelusz i marynarkę, wyszedł i zginał wśród tłumu.

Na widok 20 osób zabitych i 50 rannych, z których kilku osobom grozi śmierć, powstało takie oburzenie wśród tłumów przeciw wszystkim cudzoziemcom, że policjanci francuscy, umyślnie wysłani do pomocy policji hiszpańskiej, wielką mieli pracę, ażeby przybyłych

Rzecz naturalna, że przygnębienie w kołach dworskich i wśród szerszego ogółu powstało wielkie, chociaż postanowiono zapowiedzianych uroczystości nie przerywać tylko urządzić wspaniały pogrzeb dla zabitych i zabezpieczyć rannych.



## Archeolog w opałach.

Krotochwila w I akcie.

(Ciąg dalszy.)

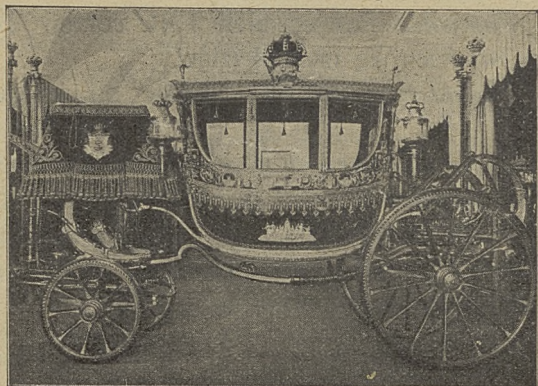
SCENA II.

Ciż i Zapiecki.

*Zapiecki* (wpada uradowany, oczolomiony, z krzykiem). Panienki moje kochane... zwycięstwo! zwycięstwo! Vivat! vivat! eureka!!

*Wszystkie*. Co? co się stało?

*Zapiecki* (rozwijając trzymaną w rękę gazetę) Słuchajcie!... (czyta drżącym ze zwruszenia głosem). Do naszego miasta przyjechał znakomity gość, którego obecność podnosi znacznie naszego grodu w oczach świata całego. Baw u nas znakomity rodak nasz, doktor Adam Mumiewicz, sławny na całej kuli ziemskiej archeo-



Kareta ślubna królów hiszpańskich której przód strzaskała bomba.



log, który pomimo młodego wieku zdobył sobie uznanie najznakomitszych uczonych naszej doby.

Powinniśmy go uczcić odpowiednio do sławy, jaką opromienia nasz naród!

Cześć mu! ..

No i co wy na to? no! co wy na to moje panny kochane, co?...

*Marynia i Kazia* (nie rozumiejąc). My... no naturalnie...

*Zapiecki*. Co wy na to, że ja będę sławny, wielki!... że cały świat się dowie o Janie Zapieckim, słynnym archeologu, he?...

*Jadzia*. Ja jeszcze zupełnie nie widzę przyczyny do tak wielkiej radości... Że doktor Mumiewicz przyjechał, to jeszcze nie dowodzi, aby pan miał zostać sławnym?...

*Zapiecki*. Moje dziecko kochane, zawsze miałaś słabą głowę... Przeto ci mówię, ja, Remigiusz Saturnin Zapiecki, dlatego zostanę sławnym, iż szanowny pan doktor Mumiewicz obejrzy moje zbiory i odpowiednio je oceni. Opinia tak znakomitego uczonego musi olśnić świat cały, który odpowiednio wynagrodzi zasługi skromnego Zapieckiego, pracującego przez całe życie nad zbieraniem skarbów zamierzchłej przeszłości (przechadza się — naraz). Jedna rzecz mnie tylko martwi... ta urna Popielowa. Niestety już jej nie mam... bo gdybym ją miał... (po chwili). Jak sobie przypomnę tego Ludwika i tę szkodę, jaką mi wyrządził... to czuję taką złość i ból w sercu... Taka urna!..

*Kazia*. A popiół?.. Co się z nim stało?...

*Zapiecki*. Noszę go zawsze przy sobie w pudełku od zapalek... przecież nie mogę go zostawić na pastwę Katarzyny, która... raz... — nie! poprostu z oburzenia mówić nie mogę, która raz... popiołami Kiejstuta wyszorowała rądel... Zaraz tej samej nocy przyszedł do mnie Kiejstut... i...

*Marynia i Kazia*. I... i co? i co?...

*Zapiecki*. I powiedział: Remigiuszu Saturninie Zapiecki — jeżeli jeszcze raz to się powtórzy i moje prochy będą zastępowały pomadkę do czyszczenia rądeli — wtedy jak słońce na niebie przyjdę i maczugą łeb — t. j. głowę ci roztrzaskam!..

*Kazia*. O mój Boże!...

*Zapiecki*. Tak groził Kiejstut — z Popielem byłaby trudniejsza sprawa! Człowiek, który otrął 12 czy 20 swoich stryjów, nie miałby dla mnie żadnej litości!... O ten Ludwik.. nigdy mu tego nie przebaczę!

*Jadzia*. Przecież Ludwik nieumyślnie...

*Zapiecki*. Nieumyślnie... nienaumyślnie... Wreszcie nie tylko to przewinienie na nim ciąży... Ale ten człowiek... mię obraził.

*Jadzia*. Obraził?

*Zapiecki*. A tak obraził. Powiedział, że wszystkie moje zbiory funta kłaków nie warte. Tak! to jest obraza... dla której niema przebaczenia!

*Kaziu*. Ależ panie...

*Zapiecki*. Niema! powiedziałem...

*Marynia*. On się poprawi, zobaczy pan, że on się poprawi...

*Zapiecki*. To co innego, jak się poprawi to będziemy mogli mówić o przebaczeniu, tymczasem na to zawcześnie...

*Jadzia*. No tak, ale jak się pan będzie mógł przekonać o jego poprawie, skoro on tu przyjść nie może?

*Zapiecki*. Niech w pismach odwoła, niech napisze pod rubryką „nadesłane“, że ja niżej podpisany panie dobrodzieju Ludwik — jestem ee... cymbał smyk i t. d. Wtedy będę mu mógł przebaczyć, teraz nigdy...

*Jadzia* (błagalnie). Ależ to niemożliwe, panie Zapiecki!

*Zapiecki*. Moje panienki nie zwracajcie mi głowy tym chłopakiem, bo on tego nie wart... Teraz mamy coś ważniejszego do obgadania... Pan Mumiewicz zaraz przyjdzie...

*Wszystkie*. Co! dr. Mumiewicz... tu?... pan go zaprosił?...

*Zapiecki*. Tak... zaprosiłem... Zobaczycie moje kochane, co to znaczy uczony... ten się napewno pozna na moich zbiorach... A jak mu pokażę łańcuch, którym Prometeusz był przykuty do skały, albo kawał sznura, którym bracia związali Józefa, syna Jakóbowego, to jak amen na niebie... t. j. w pacierzu chciałem powiedzieć, kochany doktor zbaranieje.

*Jadzia* (nieśmiało i prosząco). Proszę pana, ja mam wielką, ale to wielką prośbę. Niech Ludwiczek wróci!

*Zapiecki*. Znów Ludwiczek? bój się Boga dziewczyno!... (załamuje ręce).

*Jadzia*. Przecież on nieumyślnie!...

*Zapiecki* (ze złością). Prochy... króla Popiela, niech mi je odda!...

*Jadzia*. Ale...

*Zapiecki*. Powiedziałem i nie cofam. Bez prochów niech się nie pokazuje!

*Jadzia* (z rozpaczą). Skądże on je weźmie! ..

*Zapiecki*. Skąd mu się podoba! (otwiera drzwi). Krzysiu! Krzysiu! pozwól na chwileczkę!! (do Jadzi). Zrobił mi szkodę... która może o mojej sławie stanowić i chce przestąpić próg mego domu! Nie na to nie pozwolę!

(d. c. n.)





## Skrzynka do listów.

### Co słyhać w Warszawie.

Twoim listem, *Wisetko*, zaczynam dzisiejszą korespondencją, gdyż zawiera pytania, na które odpowiedzieć pragnę tak, aby ta odpowiedź zainteresowała wszystkich czytelników skrzynki. Chcesz wiedzieć, co słyhać w Warszawie? Nie pierwszy to raz odbieram podobne pytanie, a odpowiedź na nie bardzo trudna, gdyż nigdy chyba tyle sprzecznych prądów nie krzyżowało się w naszym kochanym mieście, jak obecnie. Słyhać źle i dobrze, słyhać echa próżnego, czczego życia i echa wysiłków czynionych w kierunku ratowania narodu od zdziczenia, które nędra z ciemnotą wloką zawsze za sobą. Więc od totalizatora i fałszywych brylantów Bera zaczawszy, aż do mrówczej pracy nad elementarzem w suterenie, spotkać można w Warszawie wszystko, męty obok szlachetnych czynów, zwyczajnie jak w wielkich ogniskach ludzkich. O mętach jednak ja wam pisać nie będę, tembardziej, że mam do zanotowania wiele zacnych ludzkich zamierzeń, od nich też zacznę moją kronikę dnia dzisiejszego.

Najprzód więc na 7 i 8 czerwca zapowiedziano wystawę prac dzieci z ochron. Piszę to 5-go czerwca, więc nie mogę udzielić jeszcze bliższych szczegółów, ale donosiły o niej gazety codzienne i jestem pewna, że pośpieszyłyście obejrzeć te drobne, mało wartościowe na pozór roboty, które jednak mają wielkie znaczenie, gdyż są świadectwem usiłowań skierowanych ku umoralnieniu i podniesieniu dziatwy miejskiej i wiejskiej. Tym razem nawet o wiejską zwłaszcza chodzi, bo razem z wystawą był naznaczony na ten sam termin zjazd ochrońniarek z całego kraju. Pragnęły poznać się wzajemnie, ocenić owoce dotychczasowej pracy i zachęcić do dalszej obojętnej działalności nad umoralnieniem ludu.

Te szanowne skromne mrowki, to bojowniczkii, w których cała Polska pokłada nadzieję, jest dotąd mało, bardzo mało ochron, kiedy każda wieś miełby swoją powinna, ale i te jakie są, wywierają zbawienny wpływ na lud, bronią go od zdziczenia, a niestety, z bólem przyznać to trzeba, takich rozbojów, jakie co krok spotykamy u nas w Polsce, powstydziliby się mieszkańcy najdzikszych stron świata.

Więc też ze szczerem wzruszeniem przyjmować będziemy w Warszawie ochrońniarki wiejskie i pragniemy gorąco dać im odczuć, że są dla nas drogim bardzo pułkiem bojowników, walczących o lepszą przyszłość ojczyzny.

Tą lepszą przyszłość budują ludzie dobrej woli na różnych polach. Oto koło zjednoczonych Ziemianek zakłada wspólnymi siłami szkołę dla włościanek. I znów, jak o ochronach, powiedzieć trzeba, że należałoby się szkół takich tworzyć jaknajwięcej!

No i co jeszcze dobrego donieśćbym Wam mogła, czytelniczki moje. Zakończę list do *Wisetki* wspomnieniem wrażenia, którego doznałam w tych dniach. Oto przeciągała przez Warszawę kompania pątników z okolic Białegostoku, dążąca do Częstochowy. Było w tej gromadce dużo unitów, którzy przez wiele lat kryć się musieli ze swymi uczuciami, a teraz dopiero śmiało dążyć mogą na Jasną Górę do stóp Pocieszycielki strapiionych, która dla nich, tych najwierniejszych. wyprosiła nareszcie godzinę sprawiedliwości. Wracających pątników przyjmowali warszawianie skromnym poczęstunkiem, łamano się kawałkiem chleba a zamieniano słowa dobrej otuchy, zwyczajnie jak czynią bracia, kiedy po dniach ciężkiej niedoli lepsze zaświecą zorze.

Oto co miałam odpowiedzieć na twe pytanie, *Wisetko*, powtarzam, pytań takich odbieram bardzo wiele, tylko nie zawsze jest miejsce w skrzynce na dłuższą pogawędkę. Skorzystałam, że dziś listów mało i rozświegotał się stary ptak.

\* \* \*

Skończywszy o sprawach publicznych (proszę się nie uśmiechać, przecież w gronie «Wieczorów» radzić o nich wolno, a nawet należy) wyciągam ze skrzynki następny list i odpowiadam:

*Muszcze*. Nie jest to ta dawna Muszka z nad Rosi, która razem z Żabką przez kilka lat była stałą korespondentką «Wieczorów», ale inna, także bardzo miła Muszka, pokochałam ją już serdecznie, bo jak nie pokochać pisklęcia, wdzięcznego za dobrą radę i postępującego wedle niej, żeby sobie zjednać miłość koleżanek. Jestem pewna, *Muszeko*, że uda ci się pojąć tę miłość. Pytasz, co masz czynić, aby w przyszłości stać się pożyteczną dla społeczeństwa. Łatwa rada, oto rób, co teraz już robić zaczęłaś. Piszesz, że będziesz pomagała matce w gospodarstwie, że chcesz ćwiczyć się w naukach, a prócz tego uczyć biedne dzieci. Więc wytrwaj tylko w tych dobrych zamiarach, a życie samo wskazywać ci będzie z dnia na dzień, co czynić masz dla spełnienia obowiązków względem własnej duszy, względem rodziny i względem ojczyzny, której służy się najlepiej oświecaniem i umoralnieniem ludu.

Siedmioletnia *Stasia Ch...* to nowa korespondentka, która nietylko, że trafnie odgaduje łamigłówki, ale ślicznym pismem nadsyła rozwiązania. A może, *Stasiu*, doniesiesz Jaskółce, kto cię nauczył tak równe i ładne stawiać literki?

*Waciu i Stasia Uramowsky* bardzo zręcznym wierszykiem dziękują za nagrody odebrane z konkursu, szkoda, że nie donoszą nic o sobie, bo Jaskółka chciałaby wiedzieć, kto są korespondenci z pod Włoszczow. Ja Włoszczowę znam i nieraz modliłam się w tamtejszym kościele, miłoby mi było wiedzieć, czy zrobiono co użytecznego w tym mieście, na przykład czy powstała w Włoszczowie ochrona, albo może dom ludowy na odczyty!

Nie ze wsi, tylko znów z Warszawy odpowiadam na list twój, *Litwinko z nad Dzitwy*. Miło czytać słowa tak pełne uczuć narodowych i zrozumienia piękna natury. Redakcja ogłosi wkrótce konkurs na roboty, a jestem pewna, że sukienka, którą uszyjesz, będzie starannie zrobiona i ucieszy biednego dzieciaka w szpitaliku. Powiedz, *Litwinko*, braciszkowi dużo serdecznych słów od Jaskółki i proś go, niech do niej napisze, bo to wielka radość odpowiadać tym małym kochanym piskletom, któreby się tak chętnie pod skrzydłami tuliło.

A teraz zwracam się znów do ogółu czytelników «Wieczorów». Dojdą was te słowa wtedy właśnie, kiedy kościół obchodzi uroczystość Bożego Ciała. Po wszystkich zakątkach ziemi polskiej, nawet tam, gdzie przez lat 40 żadne publiczne nabożeństwo odbywać się nie mogło, wyjdą procesje i ksiądz błogosławić będzie nasze niwy, nasze wsie i miasta. Połączmy się wszyscy w gorącej modlitwie do Boga, wołajmy razem z kapłanami: «*Salvum fac populum Tuum Domine*», (Zbaw lud Twój, Panie), bo siła jest złego nietylko przeciw nam, ale między nami i trzeba cudu miłosierdzia Bożego, aby usunąć niebezpieczeństwa z zewnątrz nam grożące i stopić w ogniu wspólnej miłości wszelkie dzielące nas waśnie.

A pamiętajmy, że tylko jednością możemy być silni, tej siły pragnie dla Polski

Jaskółka.





## Łamigłówka afrykańska

Zadanie kombinacyjne do nagrody.



Pięciu białych i pięciu murzynów podczas wyprawy naukowej — wpadli w ręce jakiegoś dzikiego królika miejscowego, który z początku chciał ich wszystkich zabić i pożreć, ale po wielu błaganiach i przekładaniach zgodził się darować życie połowie jeńców czyli pięciu podług ich własnego wyboru.

Wybór dobrowolny był naturalnie niemożliwy do przeprowadzenia, więc biedni jeńcy musieli urządzić losowanie. Postanowili stanąć kołem w takim porządku, jak widzimy na rycinie, wybrać jakąś liczbę i, licząc w kierunku ruchu ręki № 1-go, usuwać po kolei z koła i oddawać królikowi na śmierć niechybną każdego, na którego wypadnie owa wybrana liczba, dopóki w ten sposób nie wyjdzie z koła pięciu. Reszta miała zachować życie.

Zadanie więc polega na tem, aby wynaleźć:

1) *najmniejszą liczbę do losowania oraz numer człowieka*, od którego należy rozpocząć liczenie, aby najpierw wylosować po kolei samych białych,

2) *najmniejszą liczbę do losowania oraz numer człowieka*, od którego należy rozpocząć liczenie, aby najpierw wylosować po kolei samych czarnych.

Trzeba pamiętać, że liczyć należy w kierunku ruchu ręki № 1-go, to jest ku lewej stronie, jak przy rozdawaniu kart, a także, iż każdy na którego padnie fatalna liczba — wychodzi z koła, potem liczy się na nowo od

jedynki, poczynając od następnego z kolei, lecz już natralnie z pominięciem usuniętych.

Za *dobre* rozwiązanie powyższego zadania — Redakcja przeznaczą dla prenumeratorów III kwartału *dwie nagrody*, a mianowicie książkę opr. z ilustracyami w cenie 1 rubla („Na falach Atlantyku“ Wł. Umińskiego).

Rozwiązania należy przesłać *przed 4 lipca r. b.* na oddzielnych kartkach pocztowych z napisem *rozwiązanie*, pod adresem „Wieczory Rodzinne“ Mazowiecka № 10.



Konkursa II-go półroczna z nagrodami na roboty ręczne i wypracowania będą ogłoszone w ostatnich numerach czerwcowych.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**Trafne rozwiązanie łamigłówek** z ostatnich numerów nadesłali: Żuk z nad Dniepru, Józio Malinowski, Zosia Garklicka, Stefcia Bolechowska, Wicio Michalski, Zosia Rozenfeld i R. Krajewski.

**Zadania i łamigłówki**, nadesłane przez Stefana Otocznego, Zucha z nad Warty, Wandzię Czajkowską i Zbyszka Rz. zaliczone zostały do druku.

## TREŚĆ:

Najmniejsza planeta, przez Władysława Umińskiego. — Dzwon (wiersz), przez Idę Pilecką. — Wspomnienia z lat młodości, przez St. Br. — Jak budować dom, przez St. Br. — Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a. — Zdradziecki napad (ryc.). — Ze światła (z ryc.). — Archeolog w opałach, (krotochwila). — Skrzynka do listów. — Łamigłówka afrykańska. **Dodatek:** Feniks i dywan czarodziejski (z ryc.). — Chronologia Królów Polskich przez Aryelę. — Polowanie na słonia, przez Irenę Mrozowicką. — Zadania i łamigłówki.

**Domino obrazkowe**, w którym punkty zwykłego domina zastąpione są obrazkami — a kamienie zastępują karty. Cena w ozdobnym pudełku z objaśnieniem 80 kop. Do nabycia w kantorze wydawnictw *Wiśniakowskiego i Sp.* w Warszawie, Jerozolimska 25, m. 20, oraz w księgarniach i składach zabawek. Handlującym rabat.

**Uwaga.** Zamieszkaliśmy poza Warszawą wysyłamy za zaliczeniem, każdą zażadaną książkę dziecinna, lub zabawkę. Wystarczy podanie nazwy przedmiotu i przybliżonej ceny.

## Zakład naukowy 7-mio klasowy

z klasą wstępną i pensjonatem

**Zofii z Waligórskich  
CZESŁAWOWEJ STICHE**

Zapis codziennie do wszystkich klas od 11 — 3.

Ul. Żórawia Nr. 9.

## Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.



## FENIKS

## i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

— Dobrze! — poparł go Cyryl. — Właściwie niema w tem nic złego...

— Czekajcie, chłopcy! — przerwała Antea. — Wiecie, że podczas Bożego Narodzenia każdy stara się być dobry i grzeczny... Możeby poprosić dywan, żeby nas zaniósł w takie miejsce, gdzie moglibyśmy spełnić jakiś dobry uczynek? A przytem będzie i podróż...

— Zgoda! — zawołał Cyryl. — Nie wiemy, gdzie nas dywan zaniesie, więc będzie tem większa przyjemność. Ale lepiej włożyć ciepłe ubrania, bo nie można przewidzieć, co się zdarzy...

— Może uratujemy jakiego podróżnego zaszypanego śniegiem, jak psy z góry św. Bernarda z beczulką na szyi — wtrąciła Kizia już zaciekawiona.

— Albo może — dodała Antea — w jakim obcym kraju znajdziemy na poddaszu biedne, zmarznęte i zgłodniałe dziecko i damy mu jałmużnę...

— Nie mamy zagranicznych pieniędzy — przerwał. Cyryl. — Jabym wolał dostać się na wojnę, wysledzić zamiary nieprzyjaciela, ostrzedz dowódcę, a onby mnie zrobił pomocnikiem, albo wywiadowcą, albo huzarem...

Po sprzątnięciu śniadania Antea rozłożyła dywan i dzieci zasiadły na nim, z Feniksem, zaproszonym na świadka dobrego uczynku, który postanowiły spełnić.

Gdy ptak i dzieci były gotowe, wypowiedziano życzenie, wszyscy zamknęli oczy, ażeby jak najmniej odczuć wirowanie dywana.

Otworzywszy je po chwili, dzieci zobaczyły, że siedzą na dywanie, a dywan — leży w ich własnym pokoju!

— A to co? — zawołał Cyryl.

— Może on się zużył? — zapytał z niepokojem Robert Feniksa. — To jest, może stracił swoją czarodziejską władzę?

— Wcale nie to, — uspokoił go Feniks. Ale... właściwie... czego żądacie?

— Ach! rozumiem! To ma znaczyć, że

dobry uczynek można spełnić i tu gdzie jesteśmy... — odrzekł niechętnie Cyryl. — Może każe nam nosić węgle dla wyręczenia kucharki, albo szyc sukienki dla nagich murzyniāt w Afryce!... Ale na to ja się nigdy nie zgodzę!

Cyryl dodał głośno i stanowczo:

— Słuchaj! chcemy odbyć zajmującą i daleką wycieczkę do miejsca, w którym moglibyśmy spełnić dobry uczynek. Teraz już wiesz czego nam potrzeba... Jedźmy!

Posłuszny dywan ruszył natychmiast i to tak prędko, że czworo dzieci i ptak zsunęły się i pospadały jedno na drugie, a potem pograżyły się w nieprzeniknionych ciemnościach.

— Jesteście wszyscy? — spytała zadyszana Antea.

Wszyscy odpowiedzieli: jesteśmy!

— Ale gdzie jesteśmy? — odezwał się jeden głos. — O! jak tu zimno i wilgotno! Pfe! Cała ręka w błocie!

— Czy nie ma kto zapalek? — spytała niespokojnie Antea.

Pewna była, że nikt nie ma. Ale Robert uśmiechając się tryumfująco — czego niestety!



Robert z tryumfem zapalił świecę.



w ciemnościach nikt nie widział — wydobył z kieszeni pudełko zapalek i dużą świecę, którą zapalił. Całe towarzystwo z otwartymi ustami zmrużyło oczy, olśnione nagłym światłem.

-- Brawo, Bob' — zawołały siostry, a nawet mruczenie Cyryla nie zmniejszyło ich uznania dla przeznaczonego brata.

— Od czasu kiedyśmy byli w podziemiach wieży bez dachu, zawsze noszę w kieszeni zapalniczki — objaśnił skromnie Robert. — Byłem pewny, że kiedyś się przydadzą, ale dobrze dotrzymałem tajemnicy — prawda?

— Bob! — zawołała nagle Antea. — Czy ty wiesz, gdzie jesteśmy? W tem samym podziemiu, gdzie leżą skarby... Patrzcie! te same worki z pieniędzmi, i wszystko tak jak zostawiliśmy...

Do tego czasu wszyscy oswoili się ze światłem i mogli się przekonać, że Antea mówi prawdę.

— To dziwne miejsce dla dobrego uczynku — odezwała się Kizia. — Przecież tu niema nikogo?

— Kto to wie? — zrobił uwagę Cyryl. — Może tam dalej, w korytarzu, znajdziemy więźnia, który tu przebył całe lata i zabierzemy go z sobą na naszym dywanie i wrócimy mu wolność...

— Bardzo być może! — potwierdził Robert, podnosząc w górę świecę, żeby lepiej widzieć. — A może znajdziemy tylko kościotrupa więźnia, zabierzemy go stąd, sprawimy mu pogrzeb... To także dobry uczynek.. Ale ja dotąd nigdy jeszcze nie widziałem kościotrupa.

— Już ja wolę, żebyś go nigdy nie zobaczył! — odrzekła Kizia.

— Myślę, że najprędzej tam, pod tą arkadą możemy znaleźć szkielet — mówił dalej Robert — i...

— Jeżeli nie przestaniesz o tem mówić — przerwała mu Kizia stanowczo — zacznę krzyzczeć a może nawet zemdleję! Lepiej daj pokój...

— I ja także zemdleję — dodała Antea.

Robertowi nie podobał się opór sióstrzyczek.

— Wy, dziewczynki, nie będziecie nigdy pisały powieści. Lubicie mówić o podziemiach, łańcuchach, a jak wspomnieć o szkielecie...

Kizia już otworzyła usta do krzyku, ale zanim zdążyła, zabrzmiał w ciemności złocisty głos Feniksa.

— Uspokójcie się! Niema tu innych szkieletów, oprócz małych ale pożytecznych szkielecików, które nosicie w swoich ciałach. Ale chyba nie poto zaprosiliście mnie na wycieczkę, ażeby słuchać waszych sprzeczek, lecz abym był świadkiem waszego dobrego uczynku?

— Ależ tu nie mamy sposobności do żadnych dobrych uczynków... — odpowiedział niechętnie Robert.

— Tak się zdaje — zrobił uwagę ptak. — Tu można tylko straszyć szkieletami małe sióstrzyczki...

— On mnie wcale nie przestraszył, a przecież nie jestem tak bardzo mała! — przerwała Feniksowi niewdzięczna Kizia.

Robert umilkł. Cyryl zaś zaproponował, żeby zabrać pieniądze i wyjść z podziemia.

— To nie będzie żaden dobry uczynek! — zawołała Antea. — A nawet będzie zupełnie zły uczynek, zabrać pieniądze, które do nas nie należą...

— Możemy je wziąć i rozdać ubogim i starym — odezwał się Cyryl.

— Ale to zawsze będzie kradzież — upierała się Antea.

— Wcale nie kradzież! — dowodził Cyryl — bo kradzież to...

— Dobrze! dobrze! — przerwał im szyderczo Robert. — stójcie i sprzecajcie się, aż się świece wypalą. Będzie wam miło znaleźć się znowu w ciemnościach!

— Więc wychodźmy! — poparła go Antea — w drodze możemy się sprzeczać...

Zwinęli dywan i poszli. Ale doszedłszy do tego miejsca, gdzie podziemie dochodziło do wieży bez dachu, zastali drogę zatarasowaną wielkim głazem, którego nie mogli poruszyć z miejsca.

— Każda rzecz ma dwa końce! — wygłosił Feniks, — nawet sprzeczek i chodnik podziemny.

Zawrócili napowrót, a Robert musiał iść na czele z jedną świecą, ponieważ on pierwszy zaczął mówić o szkieletach, Cyryl niósł dywan.

Korytarz był długi, z arkadami i schodkami, z zakrętami i ciemnymi zagłębieniami, które dziewczynki mijały z trwogą. Na końcu korytarza były schody. Robert zaczął na nie wchodzić.

Nagle zachwiał się przechylił w tył i nadepnął na nogę idącej za nim Kizi, a wszyscy krzyknęli:

— Co się stało?

— Nic! nic! Tylko uderzyłem głową o sklepienie! — odpowiedział Robert jęknąwszy. — Ale to nic... te schody dochodzą do samego sklepienia, sklepienie jest kamienne. Nie wiem jakie dobre uczynki można spełniać pod kamiennym sklepieniem...

— Zwykle schody nie prowadzą do sklepienia — odezwał się Feniks. — Podeprzyjcie ramieniem te głązy...





# Chronologia Królów Polskich.

(C. d.)

**Henryk Brodaty i Henryk Pobożny.**  
(1227 — 1243).

Gdy padł Leszek z ręki zdrajcy  
Zbrakło księcia na Krakowie,  
Więc czas jakiś tam rządzili  
Dwaj ze Ślązka Henrykowie.

Ojciec, mąż Jadwigi świętej  
Brodatego nosił miano,  
Syna co szedł w matki ślady  
Znów Pobożnym nazywano.

Żal, że obaj Piastowicze  
Zacni sercem, mężni dłonią  
Ku niemczyźnie lgną tak silnie  
I od polskiej mowy stronią!

Za nich nowa nawałnica  
Mknie od wschodu czarną chmurą,  
To Tatarzy! Polska z nimi  
Walczy przez lat pięćset z górą.

Z głębi Azyi aż do Ślązka  
Ta potęga dzika wali  
Nie wstrzymał ich pod Lignicą  
Cnych rycerzy mur ze stali.

Zginął Henryk, padli wszyscy  
Cała ziemia krwią zalana,  
Szliby by dalej, lecz ich zwraca  
Wieść o nagłej śmierci chana.

*Aryela.*

## Polowanie na słońca.

Czy mamusia na długo wychodzi z domu?

— Na dwie godziny przynajmniej.

— A ja nie mogłabym pójść razem?

— Nie, bo Maryanna zajęta prasowaniem,  
więc ty musisz pozostać z Kaziem i pilnować  
go; bawcie się w ogrodzie, najlepiej gdzieś bli-  
sko domu — i proszę nie otwierać furtki od  
ulicy ani, broń Boże wychodzić.

Mówiąc tak, mama ucałowała raz jeszcze  
Marylkę i Kazia i, zawoławszy służącej, aby za  
nią furtkę zamknęła, wyszła na ulicę.

Marylka z żalem patrzyła przez sztachety  
za oddalającą się mamusią, nudno jej było z Ka-  
ziem, żeby choć Józia wyszła do swego ogród-  
ka, to mogłyby przez parkan porozmawiać  
trochę!

Rodzice Marylki mieszkali w małym mia-  
steczku, a tuż obok ich domu, mieli podobny  
dworek z ogródkiem rodzice Józia.

Zaledwie Marylka, chcąc zabawić Kazia,  
wzięła się z nim do polewania kwiatów małą  
koneweczką, gdy z poza parkanu zabrzmiało  
wołanie Józia:

— Marylko, Marylko, jesteś tam?

— Jestem — odparła i pobiegła prędko do  
szpary w parkanie, przez którą zawsze zagłąda-  
ły do siebie.

— Marylko, czy ty wiesz, że dziś prze-  
jeżdża przez nasze miasto wędrowna menaże-  
rya, już są afisze po rogach ulic, podobno parę  
dni się zatrzyma, będą tam pokazywali praw-  
dziwego lwa i tygrysa i słońa także prawdzi-  
wego!

— Nie może być, słońa z taką długą,  
długą trąbą, jak na obrazku?

— Z pewnością z trąbą. Tatko dziś opo-  
wiadał, że wszystkie zwierzęta jadą zamknięte  
w dużych wozach z drucianymi oknami, a słoń  
sobie sam idzie naprzód, tylko go troszkę pro-  
wadzą, ma czerwony czaprak na sobie i koło  
niego idzie dwóch muzykantów i grają mu  
marsza.

— Och, jakto musi być prześlicznie! jak-  
żebym to ja chciała widzieć!

— Naturalnie, że zobaczysz. Mają prze-  
chodzić niedaleko stąd, Zieloną ulicą. Jak tyl-  
ko usłyszymy hałas i muzykę, to zaraz wybie-  
gniemy przypatrzeć mu się.

— Kiedy mnie mama nie pozwoliła wy-  
chodzić z ogrodu, ani otwierać furtki.

— Szkoda, bo ja pobiegnę; to przecież  
tylko na róg ulicy, z pewnością mają przecho-  
dzić tamtędy, zabiegniemy im drogę!

Zaledwie Józia domówiła tych słów, na  
ulicy dała się słyszeć wrzawa głosów ludzkich  
i niewyraźnych dźwięków muzyki.

— Idą! już idą! — wykrzyknęły dziewczyn-  
ki i pobiegły obie do sztachetów, oddzielają-  
cych ogródki od ulicy.

Kazio podążał jak mógł, drobnymi nóżka-  
mi za Marylką.

Ale przez sztachety nie można było się  
wychylić, żeby zobaczyć co się dzieje na rogu  
ulicy.

— Marylko — zawołała Józia — ja wybiegnę  
na ulicę, chodź i ty.

— Kiedy mama mi zabroniła.

— Ale co znowu! najpierw, że nikt jej  
o tem nie powie, za pięć minut wrócimy, a po-



tem twoja mama pewnie nie wiedziała, że tu będzie takie ciekawe widowisko. Prawdziwy słoń! maszerujący przy muzyce! Do Indyi przecież nie pojedziesz, żeby słonia zobaczyć.

— Z pewnością nie — potwierdziła poważnie Marylka — ale co mam zrobić z Kaziem?

— Zostaw go w ogrodzie, przez taką krótką chwileczkę nic mu się nie stanie.

— Kaziu, czy będzie tu siedział cichutko na ławeczce? ja zaraz powrócę.

— Będę, tylko mi słonia przyprowadź — oznajmił chłopczyk i usiadł na kamiennej ławce, z miną bardzo spokojną, oczekując aby starsza siostrzyczka spełniła jego życzenie.

Marylka otworzyła furtkę i pędem strzały wybiegła na ulicę. Józia czekała na nią przed swoją bramą. Zaczęły biec w stronę, skąd dochodziła ich wrzawa, ale niestety nim tam dobiegły, cały menażeryjny orszak z ogromnym słoniem na czele już zniknął na zakręcie ulicy.

— Oj, już przeszli, już ich nie zobaczymy! — wykrzyknęła Marylka z żalem.

— Dlaczego nie, pobiegnijmy na rynek, tam się z pewnością zatrzymają. Prędzej Marylko! mnie się zdaje, że my tak polujemy na tego słonia, jak owi podróżni w twojej książce z obrazkami, pamiętasz? To śliczna rzecz być musi polować na słonie! spiesz się, to mu drogę zabiegniemy.

Marylka dała się Józii pociągnąć. Biegły w stronę rynku tak prędko, aż się zaczerwieniły i kapelusze osunęły im się z głowy na ramiona. Nie widziały prawie nic przed sobą, to też na zakręcie ulicy wpadły na jakiegoś przechodnia i przewróciły się na ziemię. Gdy podniosły się zakurzone, stały jak wryte, stała przed nimi mama Marylki. Zdziwionym i surowym wzrokiem spojrzała na obie dziewczynki.

— Co wy tu robicie? co to ma znaczyć, że spotykam was pędzące przez ulicę, kiedy Marylce zabroniłam na krok oddalić się z ogrodu?

— Kiedy to proszę mamy... proszę pani... słoń miał przechodzić... ale nie przechodził tak blisko i myśmy chciały go jeszcze dogonić... — jękały dziewczynki bardzo zawstydzone.

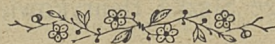
Ale mama nie zdawała się bynajmniej zadowolona z tego usprawiedliwienia. Naturalnie, że o gonieniu za słoniem nie było już mowy. Marylka i Józia wróciły do domu, bardzo strapione całą tą sprawą, Marylce najwięcej było przykro, gdy jej mama powiedziała, że już nigdy pod jej opieką nie zostawi małego bżaczka.

Jakżeby się wszystko inaczej było skończyło, gdyby nie jej nieposłuszeństwo. Mama właśnie dowiedziała się na mieście o przejeździe menażeryi i umyślnie po to wracała do

domu, aby zabrać ze sobą obie dziewczynki i pokazać im wszystkie zwierzęta. Ale takie przyjemności robi się tylko posłusznym dzieciom.

Kazio sam jeden poszedł z mamą do menażeryi i potem przez długi czas rozповідаł wszystkim „o ślicznym, kochanym słoniem, co miał nogi, jak cztery słupy a nos na dwa łokcie i tym nosem kładł sobie wszystko do buzi“.

*Irena Mrozowicka.*



## Zadania i łamigłówki.

### Liczbówka

ul. Stefan Otocki.

1 — 2 — 3 — 4 — 5    6 — 7 — 8 — 9 — 10 — 11 — 4 — 1

Trzynastcie liter, dwa słowa

W każdych «Wieczorach» się chowa.

10 — 11 — 9 — 5 — 6 — 7

Narzędzie, na całym świecie

U wszystkich szewców znajdziecie

10 — 11 — 9 — 5 — 6 — 4 — 1

Miasteczko blisko Stopnicy

Leży w pięknej okolicy.

8 — 7 — 3

Kto uczęszczał na wyścigi

To odgadnie to w trzy migi.

6 — 7 — 2

Zwierzę to ma piękne rogi

I nadzwyczaj szybkie nogi.

### Zadanie konikowe

ul. Wandzia Czajkowska.

for	się	na
ko	✻	czy
to	tu	łem

### Rozwiązania do № 22.

**Arytmogryfu:** 1) Wojna. 2) Jan. 3) Dania. 4) Sto. 5) Rak. 6) era. 7) Ona. 8) Głowa. 9) Ewa. 10) Rosya. 11) Oko. 12) Żniwo.

Środkowe litery tych wyrazów tworzą:

*Jan Tarnowski.*

**Szarady-rebusowej:** Wotum.

**Łamigłówki kropkowej:**

Cnota — skarb wieczny cnota klejnot drogi:

Tegoć nie wydrze nieprzyjaciół rogi,

Nie spali ogień, nie zabierze woda;

Nad wszystkim inszem panuje przygoda,

*Jan Kochanowski.*